

Jechałem od trzech kilometrów z telefonem w prawej dłoni. Usiłowalem skupić myśli na drodze i oczekiwaniu na pojawienie się na wyświetlaczu choćby jednego prostokątka informującego o powracającym zasięgu. Podświadomość podpowiadała, że najlepiej byłoby, gdyby magiczny napis *brak sygnału* nigdy nie zniknął. Niestety, po dwóch kolejnych kilometrach dotarłem do cywilizacji, asfaltowych dróg i możliwości mobilnego kontaktu ze światem zewnętrznym.

Zatrzymałem samochód na poboczu. Wpatrywałem się w przysłonioną przez kolorowe ikonki tapetę telefonu. Przedstawiała atrakcyjną zielonooką kobietę o długich rudych włosach i pończotnych kształtach. Siedziała na skale w zwiewnej białej w szare groszki sukience na ramiączkach. W tle wzbierały majestatyczne fale Morza Śródziemnego. Gdy przyglądałem się fotografii z ostatnich wakacji, zrozumiałem, że jeśli wezwę policję, prawdopodobnie już nigdy nie będzie mi dane pojechać z tą kobietą do Grecji. Mogę stracić nawet szansę zjedzenia wspólnego obiadu lub wykonania tak odrażającej czynności, jak spłata raty kredytowej za dom. Iga nie należała do żon akceptujących, a tym bardziej wybaczących, zdrady męża. Nawet jeśli miały pomóc w wyleczeniu pociągu do alkoholu. Po interwencji policji trudno

mi będzie ukryć przed nią fakt istnienia Moniki. Telefon do przyjaciela też nie gwarantował sukcesu. Podziwiałem jej bujne, rozwiane morskim wiatrem włosy, rozważając wybranie przekłętego numeru sto dwanaście. Dywagacje przerwał sygnał SMS-a od Igi. Pojawił się dopiero kilka chwil po odzyskaniu zasięgu. Treść miała wymowną:

„Wiktor, gdzie jesteś? Od godziny próbuję się dodzwonić, cały czas abonent jest niedostępny. Chyba nie zacząłeś pić??? Martwię się! Proszę, oddzwoni!”

Serce zakłuło jak po kontakcie z metalowym ostrzem włóczni próbującej przebić mnie na wylot. Poczułem się podle, Iga mimo swoich wad naprawdę się o mnie troszczyła. Wprawdzie wariowała na punkcie niegroźnych alkoholowych ciągot, ale potrafiła wprowadzić mnie w stan wewnętrznego spokoju jak nikt inny na świecie. Za nic nie chciałem jej stracić. Monika stanowiła jedynie odskocznnię, teraz zupełnie zbędną. Gdyby żyła, mógłbym zwyczajnie oznajmić, że wracam do żony, i definitywnie zakończyć naszą znajomość. Iga nigdy by się nie dowiedziała. Gdyby żyła... Wybrałem numer żony, Monika nigdzie się nie wybierała.

– Nareszcie! Co się z tobą dzieje? Odchodzę od zmysłów. – Odebrała po pierwszym sygnale, nawet przez telefon wyczuwałem niepokój w jej głosie.

– Nic się nie dzieje, skarbie. Jestem na obrzeżach miasta, musiałem stracić zasi...

– Nic nie piłeś, prawda?! Jeśli wymiękłeś, nie okłamuj mnie, szczerść jest ważniejsza od ukrycia chwili słabości – powiedziała dużo ostrzejszym tonem. Celowo użyła słowa *wymiękłeś*, zawsze motywowała w ten sposób moje męskie ego do zachowania stanu trzeźwości.

– Absolutnie nic. Trzeźwy sto któryś tam dzień. Nie mięknę tak łatwo, kochanie – podkreśliłem ze sztuczną dumą.

– Wolałam się upewnić. Byłeś poza zasięgiem, różne myśli przychodziły mi do głowy. Myślałam, że wychyliłeś kilka piw i trzeźwiejesz w samotności albo nawet wpadłeś w ciąg... Możesz powiedzieć, gdzie dokładnie byłeś, a przede wszystkim gdzie jesteś teraz? – Iga należała do butnych, twardo stąpających po ziemi kobiet. Mimo jej ostrego charakteru i podejrzliwości kłamanie od pierwszego spotkania z Moniką nie sprawiało mi problemów.

– Byłem na spotkaniu, wiesz, takim kryzysowym. Musiałem oddalić się z kilkoma znajomymi z klubu poza miasto. – Stowarzyszenie AA nazywałem klubem, lepiej się kojarzyło. – Niespecjalnie chcę o tym mówić. Terapia jest wredna, ale cały czas jestem trzeźwy. – Fakt trzeźwości miał dla Igi kolosalne znaczenie.

– W porządku, rozumiem cię, ale normalne, że się martwię. Zwłaszcza że chodzisz na terapie z osobami lubiącymi alkohol jeszcze bardziej niż ty i znajdujesz się poza zasięgiem. – Coraz łagodniejszy, bardziej troskliwy głos powodował uścisk w gardle.

Od pewnego czasu łągałem, że uczęszczam na spotkania AA, w rzeczywistości włączyłem się bez celu po mieście, jak nastolatek, któremu rodzice każą iść do kościoła, a który woli szwendać się ulicami, byle nie trafić w niechciane miejsce. Moje bezsensowne spacerunki skończyły się, gdy poznałem Monikę. Na spotkaniu AA stawiałem się tylko raz, uznałem, że kolejne nie jest mi do niczego potrzebne.

– Kiedy wrócisz?

Zadała świetne pytanie. Zawsze potrafiłem obliczyć w głowie czas powrotu do domu. Czy to z pracy, czy z samotnego włóczenia się ulicami miasta, czy nawet ze spotkań z Moniką. Niestety,

nie miałem pojęcia, jak wykaraskać się z zaistniałej sytuacji, a co dopiero ile czasu to zajmie.

– Jeszcze trochę zostanę. Właściwie wyskoczyłem tylko na stację kupić coś do... jedzenia. – Odruchowo chciałem powiedzieć *do picia*, ale zaraz zaczęłyby się kolejne pytania, czy aby na pewno kupuję wodę. – Iga, spotkania nie należą do najprzyjemniejszych i pochłaniają masę czasu. Liczyłeś się z tym, każąc mi zapisać się na terapię. – Celowo nie użyłem słowa *odwyk*, brzmiało dziwnie, jakbym naprawdę miał problem.

– Wiem i liczę się z tym. Zostań, ile tylko chcesz, poradzę sobie. Musiałam cię usłyszeć, żeby się uspokoić. Do zobaczenia w domu, Wiktorku, tęsknię. Pa. – Cmoknęła czule do słuchawki i zakończyła rozmowę.

Znów spojrzałem na wakacyjne zdjęcie zrobione na bajecznej greckiej wysepce. Wyobraziłem sobie rozwód, oczywiście orzeczone z mojej winy, jej pełne nienawiści i zawodu spojrzenie, łzy spowodowane świadomością, że najbliższa osoba okazała się oszustem. Następnie zobaczyłem swoją samotność, kolejne mocno zakrapiane noce i porywającą mnie otchłań beznadziei. Z czasem oboje utopilibyśmy się w gęstym morzu tęsknoty, zdolnym pochłonąć nasze życia na zawsze. Wszystko przez martwe ciało dziewczyny, której nie potrafiłem odmówić.

Skołowany próbowałem podjąć decyzję. Mogłem wezwać policję i prosić o dyskrecję, ale czy zgodzono by się? Szansa pół na pół. Dochodzili jeszcze bliscy Moniki, oni z pewnością nie daliby mi spokoju. W końcu ich córeczka umarła w ramionach starszego, żonatego mężczyzny. Takie coś pozostawia na sercu nigdy niegojącą się bliznę. Choć nie znałem jej bliskich, wiedziałem, że istnieją i z pewnością nie zostawią w spokoju mojej skromnej osoby.

Zareagują, a ich reakcja doprowadzi do spełnienia czarnej wizji przyszłości. Straciłbym wszystko, co kocham i mam.

Po przemyśleniu wykręcenie numeru sto dwanaście wydało mi się czymś absolutnie niewłaściwym. Obecność policji w lesie przedstawiała się niczym biblijna apokalipsa gotowa wchłonąć obraz wciąż ambitnie malowanego małego świata Wiktora Hauke. Ciężko pracowałem nad zbudowaniem swojego życia, które za chwilę mogło legnąć w gruzach. Do przyjaciela ostatecznie też wolałem nie dzwonić. Nie wiadomo, jak by zareagował. W głowie powoli rodził się pomysł, w jaki sposób zapobiec katastrofie. Wprawdzie jeszcze godzinę temu podobne rozumowanie nazwałbym wizją kreującą się w umyśle jakiegoś szaleńca ze skłonnościami sadystycznymi, ale sytuacja tak naprawdę nie pozostawiała mi wyboru. Decyzja podejmowała się samoistnie. Przypieczętowały ją otwarcie mapy satelitarnej w telefonie i wyszukanie najbliższego hipermarketu ogrodniczego. Z workiem pełnym kamieni przywiązanym do serca ponownie włączyłem się do ruchu. Nawigacja poinformowała radosnym głosem popularnej postaci z bajek dla dorosłych, że pozostało siedem kilometrów do celu. Zapomniała dodać o czekającym mnie koszmarnym wieczorze.

W markecie ogrodniczym kupiłem szpadel, podpalki do grilla, dwa krety i butelkę zimnego napoju energetycznego, stojącego w lodówce przy kasie. Za wszystko zapłaciłem gotówką. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że naprawdę to robię. Sam pomysł wydawał mi się abstrakcyjny, a stopniowe wprowadzanie go w życie graniczyło z szaleństwem. Tłum krążących po hipermarkecie ludzi zatraconych w kuszących niczym wąż Ewę promocjach i swojej codziennej normalności utwierdził mnie w przekonaniu, że za nic w świecie nie mogę zburzyć własnego, poukładanego życia. Jego

utrata dla nic niezmiennającego pogrzebu Moniki byłaby większym szaleństwem.

Gdy wracałem do lasu trzeźwy od zbyt dawna, umysł dopadły czarne myśli. Przed oczami widziałem umierającą Monikę. Obraz w kółko powracał, nie chciał wymazać się choćby na chwilę. Jej kaszel odbijał się echem w samochodzie, nie potrafiła go zagłuszyć muzyka płynąca z głośników. Cały czas dręczyło mnie pytanie: czemu umarła, co jej się stało? *Jakby to miało jakieś znaczenie...* Była martwa i nic nie mogło jej wskrzesić.

Wjechałem na wyboistą polną drogę. Wyłączyłem radio, zgasiłem światła i wyteżyłem słuch. Jak by nie patrzeć, zostawiłem na skraju lasu trupa przykrytego kocem. Jeśli ktoś odnalazł ciało – ja nie wezwałem policji, a w zamian jechałem ze szpadlem w bagażniku – groziły mi poważne konsekwencje. Szczęście w nieszczęściu, odludne rejony nie bez powodu nazywane są odludnymi. Monika wciąż leżała przykryta kocem. Dostrzegłem ją mimo zgaszonych świateł. Kordon detektywów kryminalnych nie rozwinął wokół niej żółtej taśmy, wcześniej uruchamiając dyskoteki błękitnych kogutów. Leżała dokładnie tak samo, jak ją zostawiłem. Rozkoszne ciepło ulgi rozlało się po żołądku. Uczucie podobne do wiania w siebie trzeciej, może czwartej pięćdziesiątki wódki. Chwilowo kojące, przypominające, że życie potrafi być przyjemne. Niestety, po chwili otumanienie wyparowuje i powraca rzeczywistość.

Zdjąłem koc z martwego ciała dziewczyny, która jeszcze dwie godziny temu cieszyła się na piknik z niedawno poznanym mężczyzną. Miała nadzieję wreszcie z nim porozmawiać i poczuć, że jest na prawdziwej randce. Była gotowa się otworzyć, mówić o sobie, uśmiech prawie nie schodził z jej twarzy... Na myśl o własnych zamiarach poczułem lekki wstręt do samego siebie.

– Przepraszam, nie potrafiłem ci pomóc. Gdybym tylko wiedział, na co jesteś chora... – Szukałem usprawiedliwienia przed zwłokami leżącymi z wciąż otwartymi oczami.

Nachyliłem się, nie wiedząc dokładnie po co. Chyba chciałem ją pocałować albo przynajmniej zamknąć te straszne oczy. Zatrzymałem się nad jej głową, martwe ciało wytworzyło coś w rodzaju niewidzialnego pola siłowego, którego nie potrafiłem sforsować. Do nosa wdarł się nieprzyjemny, słodkawy zapach. Przypominał gnijące truskawki. Ciało zaczynało wydzielać pierwsze pośmiertne chemikalia. Odór podzielał niczym sól trzeźwiąca. Szybko się otrząsałem. Na dworze zrobiło się chłodno i niemal całkowicie ciemno. Musiałem w końcu przystąpić do pracy.

Zacząłem od przeciągnięcia ciała w głąb lasu. Straszna czynność. Już samo patrzenie sprawiało ból. Teraz dodatkowo musiałem pociągnąć kobietę, której jeszcze przed chwilą pożądałem, za martwe kończyny i zataszczyć w miejsce uznane przeze mnie za najwłaściwsze do spełnienia funkcji grobu. Znajdowało się jakieś trzydzieści metrów od drogi, było w całości otoczone drzewami, oprócz trawy rosły tu pokrzywy, co zapewne odstraszało ewentualnych amatorów grzybów.

Chwyciłem zimne, bezwładne ręce Moniki. O dziwo łatwo dały się kontrolować. Poruszanie nimi przypominało przesuwanie lekko zacinających się rączek od steppera. Były dość lekkie i stawiały słaby opór. Niestety, widok nie należał do rozkosznych. Wykrzywiona twarz Moniki przybrała szkaradną formę. Nie była już piękną, tylko demonicznym straszdyłem, gotowym zabierać mi spokojne sny do końca życia. Gdy ją ciągnąłem, odniosłem wrażenie, że cały czas patrzy na mnie, chcąc zapytać: „Jak możesz mi to robić? Przecież jeszcze przed chwilą chciałeś mnie poznać”.

Byłem tak przygnębiony wykonywaną czynnością, że w polowie drogi niemal zmieniłem zdanie. Poważnie zastanowiłem się nad wezwaniem policji i zaryzykowaniem walki o obronienie swojej codzienności w inny sposób. Złe myśli przeszły, gdy dotaszczyłem w wybrane miejsce ciało, które stało się cięższe o co najmniej osiem kilo. Starłem się skupić wzrok na lesie. Bez skutku. Przed moimi stopami wciąż tańczyły jasne włosy ocierające się o buty. Położyłem ją pomiędzy trzema wysokimi drzewami, wróciłem po koszyk piknikowy, wino i jej rzeczy. Zawinąłem wszystko w koc. Rzuciłem obok ciała. Od wdychania zapachu trupa i nadmiaru wrażeń poczułem pulsujący ból w głowie. Zapewne także z głodu, nie jadłem nic od południa. Na samą myśl o sięgnięciu do kosza piknikowego po jakąś przegryzkę żołądek postawił automatycznie veto. Padałem z nóg, a nie wykonałem nawet jednej czwartej pracy. Przyniosłem z auta szpadel.



W ciągu mojego krótkiego życia pracowałem dorywczo na kilku budowach, gdzie chętnie zatrudniano młodych ludzi bez żadnej umowy. Większa część dniówki polegała na przenoszeniu ponad czterdziestokilowych worków z cementem lub innymi materiałami budowlanymi dla starszych stażem „majstrów”. Zaliczyłem krótki epizod przy przekopywaniu drogi, mającemu pomóc w położeniu rur gazowych, a nawet przez dwa wakacyjne miesiące zbierałem truskawki w kraju zachodnich sąsiadów. Wykopanie w samym środku lasu grobu dla martwej dziewczyny, która jeszcze kilka godzin wcześniej stanowiła idealny sposób na zapomnienie o doczesnych problemach, było o wiele trudniejsze od wszystkich poprzednich czynności razem wziętych. Nawet walka z alkoholem, potrafiącym tak przyjemnie zaspokoić duszę i wprawić umysł w stan ekstazy, wydawała się łatwa niczym nauka pacierza.

Przed rozpoczęciem budowy anonimowej mogiły rozebrałem się do bielizny, ubrania powiesiłem na gałęzi małego drzewa. Butów nie zdjąłem. Włożyłem rękawiczki przyniesione z samochodu. Zacząłem od wykopania pokrzyw. Parzące ciepło złośliwych roślin zaatakowało łydki wraz z pierwszymi ruchami szpadla. Świadomie zgodziłem się na to. Wolałem cierpieć teraz niż później

tłumaczyć się Idze z umorusanych ziemią ubrań. Brudne buty łatwo było wyjaśnić.

Kopałem bez żadnych przerw. W pewnym momencie bolała dosłownie każda część ciała: dłonie, ramiona, brzuch, nogi. Dopadł mnie specyficzny rodzaj piekącego bólu pojawiający się tylko podczas intensywnego wysiłku fizycznego. Znany mi z dawnych czasów. Mimo typowego wieczornego chłodu nawet przez chwilę nie czułem zimna. Przeciwnie, od coraz dynamiczniejszych ruchów szpadłem pot spływał po skroniach, powodując słoność w oczach.

– Nigdy cię nie zapomnę, zawsze będziesz kimś wyjątkowym. – Popadałem w mały obłąd. Nie przestając machać szpadłem, toczyłem rozmowę z martwym ciałem leżącym obok coraz głębszego dołu. – Odmieniłaś wszystko. Wybacz, ale nie mogłem nic zrobić – mówiłem, sapiąc z wysiłku.

Jednostronny dialog z trupem trwał prawie dwie godziny. Cały czas przepraszałem lub wychwalałem pod niebiosą Monikę, próbując zmniejszyć wyrzuty sumienia. Schodziłem coraz niżej i zastanawiałem się, czy dół jest już wystarczająco głęboki. Męczyło mnie, czy gleba dobrze zamaskuje słodki fetor martwego ciała i czy chemikalia, które zamierzałem wysypać na zwłoki, nie zmiękczą ziemi.

– Zobaczysz, ułożę cię wygodnie, kochanie, obyś tylko nie zmarzła. – Obłąd przyjmował różne formy. Martwiłem się, czy Monice będzie ciepło w anonimowym grobie. Przez moment traktowałem swoje myśli absolutnie poważnie. – Wiem, że mnie zrozumiesz, przecież nie miałem innego wyjścia.

Czułem odciski pojawiające się na dłoniach od coraz mocniejszego ściskania trzonu. Kilka razy złapałem zadyszkę, ale nie

przerwałem kopania do samego końca. Wiedziałem, że jeśli to zrobię, mogę już nie skończyć. Machałem szpadłem non stop, aż wykopałem dół o głębokości na oko metra dwadzieścia, długości metra osiemdziesiąt i szerokości sześćdziesięciu centymetrów. Wyszedłem z niego i od razu schyliłem się po upiorne ciało, jeszcze kilka godzin temu pełne chęci do życia. Oświetlona księżycem w pełni twarz Moniki całkowicie zsiniała. Przypominała wyglądniętego wampira gotowego wypić hektolitry krwi i zmienić pierwszą spotkaną osobę w trupa. Hukające w oddali sowy dodały wizji dźwiękowego realizmu.

Pociągnąłem truchło Moniki za rękę i zrzuciłem do dołu niczym najcięższy worek cementu. Znów przybrała na wadze, temperatura ciała drastycznie spadła. Upadła na plecy. Nie zamknąłem jej oczu, pole siłowe wciąż skutecznie blokowało dostęp. Przypatrując się krwi zastygłej na otwartych siniejących ustach, jasnym włosom pokrytym fragmentami ziemi, czując słodko-zgniły odór, omal nie zwymiotowałem. Zakręciło mi się w głowie, pot na ciele stał się nieprzyjemnie zimny. Ponownie musiałem wziąć się w garść. Wysypałem kreta, licząc, że zrobi swoje. Zacząłem zagrzebywać dół, pomagając Monice na zawsze zniknąć z tego świata, a sobie – zapewnić bezpieczną przynależność do niego.

Zakopanie trwało o wiele krócej niż wykopanie. Wpadłem w następny trans, znów szybko machałem szpadłem, Monika zniknęła wraz z kolejnymi grudami ziemi wypełniającymi głęboką dziurę pomiędzy drzewami. Najpierw zasypałem głowę, ona chwyciła za serce najmocniej, potem tułów, rękę, a na końcu nogi. Najwyższą warstwę ułożyłem ręcznie z kawałków gleby z trawą i pokrzywami. Nie straciły swoich właściwości, tym razem poparzyłem przedramiona. Całość przykryłem dużą ilością nazbieranych liści. Czułem

się potwornie. Szum drzew zagrał przygnębiającą arię pogrzebową uroczej dziewczynie niezasługującej na los, który ją spotkał.

Po krótkim odpoczynku polegającym na trwaniu w bezruchu nad leśnym grobem wykopałem jeszcze jeden dół. Dużo mniejszy i płytszy. Kosztował mało wysiłku, przez co chłód stał się nieznośny. Musiałem się ubrać, dodatkowo z auta przyniosłem dżinsową kurtkę. Na polanie wciąż zostały ostatnie ślady obecności Moniki. Wino wylałem w krzaki. Przygotowałem kosz piknikowy, zawartość jej torebki i podpałki do grilla. Ułożyłem wszystko na kocu. Zauważyłem, że wśród jej rzeczy nie było do wodu osobistego. Nie miało to już żadnego znaczenia. Wziąłem do ręki zapalniczkę, zamierzałem podpalić, kiedy wzrok bezwiednie skierował się na komórkę Moniki. Podniosłem telefon, nic specjalnego, zwykła stara nokia. Można powiedzieć: zabytek, na tapecie tradycyjne logo Nokii wpisane w niebieskie tło. Przejrzałem kontakty. Chciałem się czegoś o niej dowiedzieć, przecież nawet nie wiedziałem, jak miała na nazwisko. Czułem, że jestem jej to winien. W książce adresowej były zapisane tylko dwa kontakty, nie licząc pakietowych, pomocy technicznej czy doładowania konta. Numery podpisała dość tradycyjnie: *Mama* i *Wiktorr*. Wydawało mi się dziwne, że tak radosna, tętniąca życiem osoba nie ma znajomych, wujków, braci, siostr ani nikogo innego.

Otworzyłem folder z wiadomościami tekstowymi. Trzy ode mnie, jedna od mamy. Jej mama nigdy się nie dowie, czemu córka nagle przestała odbierać telefony, nie odwiedza jej, nie daje znaku życia. W końcu zrozumie, że zniknęła. Zapewne zgłosi to na policję i do końca swoich dni będzie żywić się nadzieją, że któregoś magicznego dnia dziecko zapuka do drzwi rodzinnego

domu. Nie tylko Monice przyjdzie płacić cenę za stabilizację mojego życia – jej bliscy też ucierpią. Przeczytałem jedyną wiadomość od mamy: „Nieważne, jak bardzo mnie nienawidzisz, zawsze będziesz moim dzieckiem”. Wysłana siedem miesięcy temu. *Może mama wcale nie będzie zdziwiona brakiem kontaktu ze strony córki...* Zapisałem sobie jej numer, co było sprzeczne z jakąkolwiek logiką, ale w dupie miałem logikę. Potrzebowałem świadomości, że w każdej chwili mogę zadzwonić do kobiety i opowiedzieć o losie córki, która jej nienawidziła. Nazwałem kontakt *Propozycja kredytu, nie odbierać*, tak na wszelki wypadek. Nie mogłem przecież napisać *Matka martwej kochanki, lepiej nie dzwonić*. Wyłączyłem zabytkową nokię, wcześniej zniszczywszy kartę SIM.

Nie pozostało nic innego, tylko podpalić rozpałki do grilla. Wysuszone drewno kosza piknikowego zapłonęło w zawrotnym tempie, podobnie koc. Lekki wiatr skutecznie rozprzestrzeniał ogień, wysuszając przy okazji pot na moim ciele. Przyglądałem się nietypowemu ognisku z żalem zawieszonym na plecach. Mój wzrok przykuły klucze do mieszkania Moniki, powoli wchłaniające przez płomień. Mózg natychmiast przesłał impuls do ciała, zmuszając mnie do działania. Mimo gorąca wsadziłem dłoń w sam środek ognia. Szybko złapałem klucze i niemal od razu odrzuciłem je za siebie. Przy rozgrzanym metalu wcześniejsze parzenie pokrzyw przypominało lizanie posłusznego, małego psiaka. Schłodziłem klucze podeszwą buta i ponownie wziąłem do ręki. Pęk składał się z trzech kluczy, jednego do klatki schodowej i dwóch do drzwi. Całość spięta breloczkiem z czymś, co przed kontaktem z ogniem przypominało logo Coca-Coli. Schowałem klucze do kieszeni. Działalem pod wpływem impulsu.

Dobrze wiedziałem, że powinny zostać wraz z właścicielką pod ziemią. Nie mogłem oprzeć się pokusie posiadania czegoś, co na zawsze będzie mi przypominać dzisiejszą noc. Zwłaszcza gdybym znów wpadł na pomysł wypicia kawy z nowo poznaną dziewczyną w barze.

Rzeczy z dopalonego ogniska wrzuciłem do drugiego, na szczęście dużo mniejszego, dołu i zakopałem. Całość ponownie przykryłem liśćmi. Dokończyłem jedyne przestępstwo, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się popełnić. Zatuszowałem śmierć człowieka. Czułem się podle, ale bezpiecznie. Strach i bijące w jego rytmie serce mieszały się z przyjemnym, głębokim oddechem, który wywołuje tylko ulga. Nadal mogłem toczyć chaotyczną codzienność u boku kobiety czekającej na mnie w bezpiecznym domowym zaciszu. Bardzo chciałem już do niej wrócić.

Umyłem ręce i twarz pod prowizorycznym kranem zrobionym z litrowej butelki wody mineralnej. Wytarłem się chusteczkami higienicznymi. Wciąż nie wyglądałem, jakbym właśnie wyszedł z teatru, ale nie miało to znaczenia. Z telefonem ustawionym na opcję latarki dokładnie przeszukałem całą polanę. Musiałem się upewnić, że nie zostawiłem żadnych śladów. To nie były żarty, od teraz groziło mi więzienie. Skrupulatność się opłaciła. W ciemnościach natrafiłem na prezerwatywy, których folia pokrywająca pudełko odbijała się w świetle latarki. Schowałem paczkę do kurtki. Jeszcze raz obszedłem całą polanę i wróciłem do samochodu. Klucze Moniki wsadziłem do podłokietnika, Iga nigdy nie zajarzałaby tak głęboko. Chyba nawet nie wiedziała o tym schowku. Zmęczony, skołowany, z bolącą głową i wybuchową mieszanką uczuć mogłem wreszcie opuścić miejsce, do którego planowałem nigdy nie wracać.

Słuchałem monotonnych bitów muzyki techno odbijających się od wnętrza samochodu niczym najgłośniejsza piłeczka kauczkowa świata. Jedną dźwiękową torturą próbowałem zagłuszyć drugą. Nie udało się. Przedśmiertny kaszel Moniki najwyraźniej postanowił zostać nowym samochodowym upiorem. Przebijał się przez współczesne klubowe dźwięki od chwili odpalenia silnika aż do jego zgaszenia na podjeździe jednego z niewielkich domków jednorodzinnych na Rybitwach. Ten, pod którym zatrzymałem audi, nie miał jeszcze w pełni położonej elewacji, podjazd porastała trawa, czekająca, aż czarodziejska różdżka wytwarzająca gotówkę zmieni ją w kostkę brukową, a wymarzony ogródek Igi składał się na razie z mleczy i chwastów. Rybitwy do niedawna były dzielnicą typowo przemysłową. Dzięki niskim cenom gruntów i niezłej zdolności kredytowej mogliśmy wybudować coś, co przy odrobinie szczęścia za niecałe dwadzieścia lat stanie się naszą własnością i co nazwiemy własnym domem. Choć miał jedynie salon połączony z kuchnią, garaż, łazienkę i dwa pokoje na piętrze, w porównaniu z klitką Moniki prezentował się niczym rezydencja Carringtonów.

Po cichu otworzyłem drzwi wejściowe, było dobrze po północy, Iga z pewnością spała. Nie chciałem jej budzić. Zdjąłem buty w korytarzu i po omacku wszedłem na górę. Znałem rozkład domu na pamięć, nie potrzebowałem światła. Sypialnia znajdowała się na piętrze, na prawo od schodów. Ciemność panującą w domu zakłócał włączony telewizor na ścianie naprzeciwko łóżka. Iga spała przykryta fioletową kołdrą po samą szyję, a na ekranie wróżbita przypominający homoseksualistę obmacywał kryształową kulę niczym pośladki kochanka. Moja żona nigdy nie wyłączała telewizora na noc. W powietrzu unosił się

migdałowo-jeżynowy zapach świadczący o zakończonej najwyższej kwadrans temu wieczornej kosmetyce. Dyskretnie usiadłem na łóżku. Gdy ściągałem koszulkę, usłyszałem cichy szelest. Omal podskoczyłem, przez moją głowę przeleciało echo kaszlu wyniesione z samochodu.

– Wiktor? Wiktor, to ty? – spytała niewyraźnym, nieco ściszym głosem, odwracając się w moją stronę. Była w różowej koszuli nocnej. Światło telewizora znakomicie podkreślało jej podłużną, szczupłą twarz, wąskie usta, mały nos i niewielki pieprzyk pod prawym okiem. Nawet obudzona w środku nocy wyglądała pięknie.

Widok niewinnej, zaspanej Igi przypomniał mi, że lepiej mieć koszmary niż stracić najcenniejsze. Kaszel Moniki był tylko zwiędem, znajdowałem się w bezpiecznej sypialni własnego domu, daleko od leśnego grobu.

– Nie, złodziej – odpowiedziałem szeptem.

– Śmierdzisz ogniskiem, masz umorusane ramiona. – Zaspana, a jednak niezwykle spostrzegawcza.

– Byłem przecież w lesie. – Zdjąłem ubranie. Nigdy wcześniej nie czułem tak silnej potrzeby pójścia pod prysznic. W nosie wciąż miałem słodki odór gnijących truskawek.

– Mógłbyś chuchnąć? – Nie dyskutowałem z tą kwestią, nie było sensu. Chuchnąłem i od razu dostałem buziaka w przesiąknięty trupem policzek.

– Troszkę więcej zaufania poproszę – powiedziałem, wstając z łóżka. Podniosłem brudne ubranie, najbliższym celem była łazienka.

– Wiktor? – Idze zebrało się na nocne rozmowy.

– Tak, kochanie?



– Co robiliście w tym lesie?

Przełknąłem metaliczną ślinę, smakowała jak kieliszek ciepłej wódki.

– Zakopywaliśmy grzechy przeszłości...

– Ciekawa terapia. Oby nigdy wróciły z za grobu. – Obróciła się na drugi bok i zasnęła. W końcu mogłem iść pod prysznic.

Łazienka znajdowała się naprzeciwko sypialni. Skoro nie mogłem znieczulić nosa przyjemnym zapachem czerwonego wina leżakującego w beczce, chciałem przynajmniej oczyścić ciało z przykrego odoru wspomnień. Przyczepił się niczym specyficzny zapach grozy po wybuchu poduszki powietrznej. W duchu miałem nadzieję, że śwąd zgniłych truskawek nie będzie starał się związać bliższej przyjaźni z moimi nozdrzami i szybko się ulotni. Na razie mogłem go jedynie zmieszać z intensywnym aromatem żelu pod prysznic.

W świeżych bokserkach wróciłem do sypialni. Chciałem jeszcze wrzucić ciuchy do pralki albo najlepiej wyrzucić. Sęk w tym, że nigdy w życiu nie nastawiałem pralki, Idze mogłoby to wydać się dziwne. Wolałem unikać niewygodnych pytań. Musiałem poczekać, aż sama wypierze, wysuszy i wyprasuje ubrania przesiąknięte trupem z lekkim dodatkiem ogniska. A potem ułoży do szafy, żeby za każdym razem, gdy zechcę je włożyć, przypominały dzisiejszą noc.

Wykończony położyłem głowę na poduszce. Powoli szykowałem się na bezsenność noc.

– Wszystkiego najlepszego, Wiktoru. – Iga najwyraźniej też miała problemy ze spaniem.

– Co?

– Jest już po północy, prawda?

- Nawet po pierwszej.
- Więc jeszcze raz wszystkiego najlepszego. – Oplotła mnie rękami, po czym znów zasnęła, pozostawiając mnie samego w ciemnym lesie myśli.

Kolejny dzień też nie zapowiadał się ciekawie. Obchodziłem dwudzieste ósme urodziny. Przedwczesny prezent już dostałem. Nie spodobał mi się. Zakopałem go bardzo głęboko.